



Jaume Cabré

W Y Z N A J Ę



Dopiero wczoraj wieczorem, idąc zmoczonymi deszczem ulicami Vallcarki, zrozumiałem, że przyjście na świat w tej rodzinie było niewybaczalnym błędem. Nagle dotarło do mnie, że zawsze byłem sam, że nigdy nie mogłem liczyć ani na rodziców, ani na żadnego Boga, gdy trzeba było rozwiązać jakiś problem, chociaż w miarę, jak dorastałem, nauczyłem się przerzucać ciężar swojego myślenia i odpowiedzialność za czyny na bliżej nieokreślone wierzenia i przeróżne lektury. Wczoraj, we wtorek wieczorem, kiedy w strugach deszczu wracałem od doktora Dalmau, doszedłem do wniosku, że jest to wyłącznie moja sprawa. Że moje sukcesy i błędy zależą tylko ode mnie. Potrzebowałem sześćdziesięciu lat, żeby to odkryć. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i pojmiesz, jaki czuję się opuszczony i samotny, i jak bezgranicznie za tobą tęsknię. Mimo dzielącej nas odległości jesteś moim wzorem. Mimo paniki, nie chwytam się brzytwy, żeby się utrzymać na powierzchni. Mimo pewnych sugestii radzę sobie bez wierzeń, bez kapłanów, bez ogólnie przyjętych zasad, które miałyby mi ułatwić drogę nie wiadomo dokąd. Czuję się stary; dama z kosą już na mnie kiwa. Widzę, że przestawiła czarnego gońca na szachownicy i zaprasza mnie uprzejmie do gry. Wie, że mam już niewiele pionków. Jednak jutro jeszcze nie nadeszło i zastanawiam się, którą gurą zrobić ruch. Zostałem sam na sam z kartką papieru, to moja ostatnia szansa.

Nie ufaj mi zanadto. Wiem, że w tym gatunku, jakim są wspomnienia pisane dla jednego czytelnika, łatwo kłamać, więc zawsze spadnę na cztery łapy, jak kot, ale postaram się za dużo nie zmyślać. Wszystko wyglądało właśnie tak, a nawet jeszcze gorzej. Wiem, że już dawno powinienem był ci o tym opowiedzieć, ale teraz też mi trudno i nie wiem, jak się do tego zabrać.

Naprawdę wszystko zaczęło się ponad pięćset lat temu, kiedy tamten udręczony mężczyzna postanowił wstąpić do klasztoru Sant Pere del Burgal. Gdyby tego nie zrobił lub gdyby przeor, wielbny Józef od Świętego Bartłomieja, stanowczo mu odmówił,

nie opowiadałbym ci teraz tego wszystkiego. Ale nie potrafię cofnąć się aż tak daleko. Zacznę od tego, co bliżej. Dużo bliżej.

– Ojciec... Wiesz, synu... Ojcu...

Nie, nie; od tego też nie chcę zaczynać, nie. Najlepiej zacząć od gabinetu, w którym piszę, przed twoim wspaniałym autoportretem. Ten gabinet to mój świat, moje życie, moje uniwersum, w którym jest wszystko poza miłością. Kiedy biegałem po domu w krótkich spodenkach, z rękami odmrożonymi od jesiennych i zimowych chłódów, wolno mi było tu wchodzić tylko przy wyjątkowych okazjach. Chyba że się zakradłem i wszedłem ukradkiem. Znałem tu wszystkie zakamarki i przez parę lat rozkładałem za sofą swój partyzancki obóz, który ciągle musiałem związać, żeby nie nakryła mnie Mała Lola podczas sprzątanania. Natomiast zawsze, kiedy wchodziłem tam obojętnie, musiałem zachowywać się tak, jakbym przyszedł z wizytą, i trzymać ręce z tyłu, podczas gdy ojciec pokazywał mi rękopis znaleziony w upadającej księgarni berlińskiej; przyjrzyj się, tylko uważaj, nie dotykaj, żeby nie musiał na ciebie krzyczeć. Adrian zaintrygowany pochylił się nad rękopisem.

– To po niemiecku, prawda? – Bezwiednie wyciągnął rękę, tak jakoś mimochodem.

– Pst! Uważaj, co robisz! – Uderzył go po palcach. – Co mówisz?

– Że to po niemiecku, prawda? – Rozcierał bolącą dłoń.

– Tak.

– Chcę się nauczyć niemieckiego.

Feliks Ardèvol z dumą spojrzał na syna i powiedział wkrótce będziesz mógł zacząć, mój synu.

Ścisłe rzecz biorąc, to nie był rękopis, był to plik poźółkłych kartek: na pierwszej stronie ozdobne litery układały się w tytuł: *Der begrabene Leuchter. Eine Legende.*

– Kto to jest Stefan Zweig?

Ojciec z lupą w dłoni, skoncentrowany na jakimś dopisku na marginesie pierwszego akapitu, zamiast odpowiedzieć mi to pisarz, synu, rzekł tylko no wiesz, to taki jeden, co jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu popełnił samobójstwo w Brazylii. Przez długi czas o Stefanie Zweigu wiedziałem tylko tyle, że to ktoś, kto

popęłił samobójstwo w Brazylii, jakieś dziesięć czy dwanaście, trzynaście, czternaście czy piętnaście lat temu, aż wreszcie mogłem przeczytać rękopis i dowiedzieć się czegoś więcej.

Wtedy skończyła się wizyta i Adrian wyszedł z gabinetu upomniany, żeby nie hałasował: w domu nigdy nie wolno było biegać ani krzyżeć, ani rozmawiać, bo ojciec zawsze albo siedział z lupą nad jakimś rękopisem, albo przeglądał mapy średniowieczne, albo rozmyślał, gdzie zdobyć jakieś nowe okazy, które by go przypawiły o drżenie rąk. Jedyną dozwoloną mi czynnością zakłócającą ciszę była gra na skrzypcach. Jednak nie mógł poświęcić całego dnia na ćwiczenie xxiii arpeggio ze zbioru *O livro dos exercicios da velocidade*, z powodu którego znienawidziłem panią Trullols, ale nie skrzypce. Nie, to nie była nienawiść. Jednak Trullols była bardzo namolna i uparcie nalegała na ćwiczenie xxiii.

– Może bym zagrał coś innego dla odmiany.

– Tu – uderzała nuty końcem smyczka – znajdziesz wszystkie trudności w pigułce, zebrane na jednej stronie. To ćwiczenie jest po prostu genialne.

– Ale ja...

– Na piątek masz wykuć na blachę ćwiczenie dwudzieste trzecie. Łącznie z taktem dwudziestym siódmym.

Czasem pani Trullols była uparta jak osioł. Ale na ogół dało się z nią wytrzymać. A chwilami było nawet przyjemnie.

Bernat uważał podobnie. Kiedy przerabiałem *O livro dos exercicios da velocidade*, jeszcze go nie znałem. Ale zgadzaliśmy się obaj co do pani Trullols. Musiała być świetnym dydaktykiem, chociaż, o ile mi wiadomo, nie przeszła do historii. Chyba powinienem się skupić, bo wszystko mi się miesza. Tak, o wielu sprawach już wiesz, zwłaszcza o tych, które ciebie dotyczą. Ale są takie zakamarki duszy, które pozostają nieznanne, bo nie da się poznać do końca drugiego człowieka, choćby nie wiem co.

Mimo że sklep prezentował się okazale, lubiłem go mniej niż gabinet ojca. Może dlatego, że za każdym razem kiedy tam wchodziłem, a zdarzało się to rzadko, miałem wrażenie, że cały czas jestem obserwowany. Ale sklep miał swoje dobre strony – tam mogłem się przyglądać pięknej Cecylii, w której byłem bez pamięci zakochany. Miała świetliste włosy blond, zawsze kunsztownie

upięte, i wydatne wargi w kolorze krwistej czerwieni. Wiecznie czymś zajęta – albo przeglądała katalogi i wyceny, albo wypisywała etykiety, albo z uśmiechem, w którym pokazywała piękne zęby, obsługiwała nielicznych klientów.

– Mają państwo instrumenty muzyczne?

Mężczyzna nawet nie zdjął kapelusza. Stał przed Cecylią i obrzucał spojrzeniem lampy, kandelabry, krzesła z wiśniowego drewna z delikatną intarsją, dwuosobowe kanapy z początku xix wieku, wazony z dowolnej epoki i dowolnej wielkości... Na mnie nawet nie spojrzął.

– Niewiele, ale gdyby pan był uprzejmy pójść za mną...

Na to „niewiele” składała się para skrzypiec i altówka; nie brzmiały może najlepiej, ale zachowały oryginalne struny z jelit, które jakimś cudem się nie zerwały. Była też poobijana tuba, dwa wspaniałe sakshorny i trąbka, w którą strażnik dął desperacko, żeby ostrzec mieszkańców sąsiednich dolin, że pali się las Paneveg-gio, i ogłosić, że mieszkańcy Pardàcu proszą o pomoc sąsiadów z Siròru, San Martino, a nawet z Welschnofen, niedawnych pogorzalców, z Moeny i Soragi, których już zapewne zaalarmowała woń tej klęski żywiołowej z roku pańskiego 1690, kiedy ziemia była okrągła dla prawie wszystkich i, jeśli tylko nieznanne choroby, dzicy bezbożnicy i bestie morskie i lądowe, mróz, burze i ulewne deszcze nie przeszkodziły, statki, które znikwały na zachodzie, wracały ze wschodu, przywożąc marynarzy wychudłych i zmierzniałych, ze wzrokiem błędnym od prześladowających ich nocnych koszmarów. Latem roku pańskiego 1690 wszyscy mieszkańcy Pardàcu, Moeny, Siròru, San Martino, wszyscy, poza niedołącznymi, biegli oglądać przez łyż żywioł, który obracał wniwecz ich życie, jednym bardziej, innym mniej. Przerażający pożar, na który patrzyli bezradnie, pochłoniął stopy użytecznego drewna. Kiedy na szczęście deszcze ugasiły ogień, Jachiam, czwarty syn Muredy z Pardàcu, najbardziej rozgarnięty z całego rodzeństwa, przeszedł dokładnie cały zniszczony las, wypatrując miejsc oszczędzonych przez płomień i pni, które nadawały się do wykorzystania. Schodząc z boczem Wąwozu Niedźwiedziego, przykucnęła, żeby ulżyć kiszkom w pobliżu przewróconego, spalonego na węgiel świerku. Jednak to, co zobaczył, odsunęło na dalszy plan potrzeby

zjologiczne: leżały tam żywiczne smolniaki zawinięte w szmatę, która wydzielala zapach kamfory czy innej dziwnej substancji. Ostrożnie rozwinął strzępy szmat oszczędzonych przez ten piekielny pożar, który zniszczył jego przyszłość. Odkrycie oszołomiło go: szmata na wierzchu smolnych polan zachowała brudnozielony kolor i lamówkę z żółtego, przybrudzonego sznura – dubletu, kaftana noszonego przez Bulchanija Brocię, grubasa z Moeny. Kiedy znalazł jeszcze dwa tobołki z ubraniem, całkiem strawionym przez pożar, zrozumiał, że Bulchanij, ten potwór, spełnił swoją groźbę zrujnowania rodziny Muredów, a wraz z nią całej wsi Pardàc.

– Bulchanij.

– Z psami nie rozmawiam.

– Bulchanij.

Posępny ton głosu Jachiamy sprawił, że się odwrócił. Bulchanij z Moeny miał okazały brzuch, który, gdyby tylko jego właściciel żył dłużej i nadal dobrze się odżywiał, mógłby mu kiedyś służyć za podpórkę dla ramion.

– Czego chcesz, do cholery?

– Gdzie twój kaftan?

– A tobie co do tego?

– Dlaczego go już nie nosisz? Pokaż mi go.

– Spieprzaj, zasańcu. Myślisz, że skoro wy wdepnęliście w gównno, to teraz cała Moena ma skakać, jak nam zagracie? Co?

– Z nienawiścią w oczach wymierzył w niego palec. – Nie mam zamiaru niczego pokazywać. I spieprzaj stąd, bo mi zasłaniasz słońce, wypierdku.

Jachiam, czwarty syn Muredy, z zimną furią wyciągnął nóż do korowania, który zawsze nosił za pasem, i wbił w bandzioch Bulchanija Brocii, grubasa z Moeny, jakby był pnem klonu, który trzeba oczyścić. Bulchanij otworzył usta i oczy zrobiły mu się wielkie jak pomarańcze. Bardziej niż bólem zaskoczony był samym faktem, że ten gówniarz z Pardàcu ośmielił się go tknąć. Kiedy Jachiam Mureda z obrzydliwym plaśnięciem wyciągnął nóż czerwony od krwi, Bulchanij opadł na krzesło, jakby przez ranę uszło z niego powietrze.

Jachiam spojrział w lewo i w prawo, droga była wolna. Naiwny, rzucił się biegiem w kierunku Pardàcu. Kiedy minął ostatni dom

w Moenie, uświadomił sobie, że garbuska przy młynie, dźwigająca mokre pranie, która wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, mogła wszystko widzieć. Zamiast przejechać jej nożem po gardle, żeby zamknęła oczy, przyspieszył tylko kroku. Mimo że był drwalem umiejącym najlepiej ocenić śpiewność drzew, mimo że nie skończył jeszcze dwudziestu lat, jego życie zostało zrujnowane.

Rodzina stanęła po jego stronie; natychmiast powiadomili sąsiadów z San Martino i z Siròru o dowodach świadczących, że to Bulchanij był podpalaczem, który z zawiści zniszczył ich las, gdy tymczasem cała Moena uznała, że nie ma co liczyć na sprawiedliwość; bez żadnych pośredników ludzie sami zaczęli ścigać nikczemnika, Jachiamą Muredę.

– Synu – powiedział stary Mureda, patrząc na niego tak smutno jak nigdy dotąd. – Musisz uciekać. – Wręczył mu sakiewkę z połową złota, które uzbierał, pracując przez trzydzieści lat w lesie Paneveggio. Żaden z braci nawet nie pisnął i stary oświadczył ceremonialnie, że choćbyś był najbardziej wyspecjalizowanym w akustyce brakarzem, z najlepszym słuchem do śpiewności drewna, Jachiamie, synu, serce ty moje, czwarty potomku tego nieszczęsnego rodu, twoje życie więcej jest warte niż najlepszy klon, jaki kiedykolwiek udało nam się sprzedać. A poza tym unikniesz nędzy, która teraz na nas spadnie, bo Bulchanij z Moeny pozbawił nas drewna.

– Ojczy, ja...

– Szybko, bierz nogi za pas i uciekaj, kieruj się na Welschnofen, bo na pewno będą cię szukać w Siròrze. Rozpuścimy plotkę, że ukryłeś się albo tam, albo w Tonadichu. Tu, w dolinach, nie będziesz bezpieczny. Musisz wyruszyć w drogę, daleką drogę, jak najdalej od Pardàcu. Uciekaj, synu, i niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– Ależ ojczy, ja chcę tu zostać. Chcę pracować w lesie.

– Las nam spalili, dziecko. Gdzie ty chcesz pracować?

– Nie wiem; ale umrę, jeżeli opuszczę doliny!

– Jeżeli nie uciekniesz tej nocy, sam cię zabiję. Rozumiesz?

– Ojczy...

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek z Moeny skrzywdził mojego syna.

I Jachiam od Muredów z Pardàcu pożegnał ojca i ucałował jednego po drugim wszystkich braci: Agna, Jenna, Maxa i ich żony. Zebrali się wszyscy – Hermes, Josef, Theodor i Micurà; Ilse, Erica i ich mężowie, i jeszcze Katharina, Matilde, Gretchen i Bettina, żeby go pożegnać w milczeniu, i kiedy już był w drzwiach, mała Bettina powiedziała Jachiam, a on się odwrócił i zobaczył, że dziewczynka trzyma w ręce medalik z Matką Boską Kwietną, patronką Pardàcu, ten, który matka wręczyła jej przed śmiercią. Jachiam bez słowa popatrzył na braci, a potem na ojca, który potakująco skinął głową. Wtedy podszedł do Bettiny, wziął medalik z jej rąk i powiedział Bettino, moja mała, będę nosił ten klejnot aż do śmierci, choć nie wiedział, że naprawdę tak się stanie. A Bettina ujęła jego twarz w swoje dłonie, powstrzymując łzy. Jachiam wyszedł z domu z zaczerwienionymi oczami, wyszeptał krótką modlitwę nad grobem matki i pochłonęła go noc i wieczny śnieg, aby mógł zmienić swoje życie, historię i wspomnienia.

– Czy to wszystko, co państwo mają?

– To jest sklep antykwaryczny – odpowiedziała Cecylia tym swoim surowym tonem, który onieśmielał mężczyzn. I dodała z lekką ironią: – Może pójdzie pan do lutnika?

Podobała mi się Cecylia, kiedy była zła. Robiła się wtedy jeszcze ładniejsza. Ładniejsza od mojej mamy. Mamy z dawnych czasów.

Z tego miejsca widziałem biuro pana Berenguera. Słyszałem, jak Cecylia odprowadza zawiedzionego klienta, który ciągle miał na głowie kapelusz, a kiedy zadzwieczał dzwonek nad drzwiami i usłyszałem, że Cecylia żegna mężczyznę, życząc miłego dnia, pan Berenguer podniósł głowę i puścił do mnie oko.

– Adrianie.

– Tak.

– Kiedy po ciebie przyjdą? – zapytał, podnosząc głos. Wzruszyłem ramionami. Nigdy nie wiedziałem, kiedy powinienem być w tym czy innym miejscu. Rodzice nie chcieli, bym został sam w domu, i kiedy oboje wychodzili, przyprowadzali mnie do sklepu. Mnie to odpowiadało, bo miałem dobrą rozrywkę, oglądając nieprawdopodobne przedmioty, które lata świetności miały już za sobą, a teraz czekały cierpliwie na drugą, trzecią

czy czwartą szansę. A ja wyobrażałem sobie ich życie w różnych domach i doskonale się przy tym bawiłem.

Zawsze w końcu przychodziła po mnie Mała Lola, zawsze w pośpiechu, bo musiała przyrządzić kolację, a nie wstawiła jeszcze gorącego dania. Dlatego wzruszyłem ramionami, gdy pan Berenguer zapytał, kiedy po mnie przyjdą.

– Chodź no tu – powiedział, wskazując mi białą kartkę. – Siądź przy stole Tudorów i narysuj coś.

Nigdy tego nie lubiłem, bo do rysowania się nie nadaję, mam dwie lewe ręce. Dlatego podziwiałem twój talent, który wydawał mi się czymś cudownym. Pan Berenguer kazał mi rysować, bo przeszkadzała mu moja beczynność, choć to wcale nie była prawda, gdyż zajmowałem się myśleniem. Ale z panem Berenguerem nie można było dyskutować. Tak więc siedząc przy stole Tudorów, zajmowałem się czymkolwiek, żeby tylko dał mi spokój. Wyciągnąłem z kieszeni Czarnego Orła i spróbowałem go narysować. Biedny Czarny Orzeł, gdyby zobaczył siebie na papierze... A właściwie, Czarny Orzeł nie zdążył jeszcze poznać szeryfa Carsona, bo zdobyłem go dziś rano, wymieniając się z Ramonem Collem na harmonijkę Weissa. Gdyby mój ojciec się o tym dowiedział, chyba by mnie zabił.

Pan Berenguer był jedyny w swoim rodzaju; trochę się go bałem, kiedy się uśmiechał. Cecylię traktował, jakby była bezużyteczną służącą, czego nie mogłem mu wybaczyć. Ale on najwięcej wiedział o moim ojcu, który dla mnie pozostawał zagadką.

Statek Santa Maria przybił do portu w Ostii w mglisty poranek drugiego czwartku września. Podróż z Barcelony była gorsza niż wszystkie wyprawy Eneasza w poszukiwaniu przeznaczenia i wiecznej chwały. Neptun nie okazał się dla niego życzliwy i na pokładzie Santa Marii nie tylko dostarczył rybom pożywienia, ale też zmieniła mu się cera: czerstwa i rumiana twarz wieśniaka z La Plany przybrała bladą odcień mistycznej zjawy.

Sam biskup Josep Torras i Bages uznał, że w osobie tego inteligentnego, pobożnego i ułożonego seminarzysty, zdobywającego znakomite oceny, przejawiającego prawdziwe zamiłowanie do nauki i mającego wiedzę zaskakującą w tak młodym wieku, dostali drogocenny kwiat, który potrzebuje bujnego ogrodu, gdyż w skromnym warzywniaku seminarium w Vic zwiędnie i utraci ten dar inteligencji, której Bóg mu nie poskąpił.

– Nie chcę jechać do Rzymu, Ekscelencjo. Chcę się poświęcić nauce, bo

– Właśnie dlatego wysyłam cię do Rzymu, ukochany synu. Znam dobrze nasze seminarium i wiem, że taka inteligencja jak twoja u nas się tylko zmarnuje.

– Ależ, Ekscelencjo...

– Bóg cię powołał do wyższych celów. Twój profesorowie stanowczo tego żądają – powiedział, nieco teatralnym gestem wymachując dokumentem, który trzymał w ręce.

Urodzony w folwarku Can Ges, w miejscowości Tona, jako potomek przykładowej rodziny, syn Andreu i Rosalii, w wieku lat sześciu był już gotów do rozpoczęcia nauki i zdecydował się na karierę duchowną, wstępując do pierwszej klasy Łaciny, prowadzonej przez księdza Jacinta Garrigósa. Postępy, jakie natychmiast poczynił, były tak wybitne, że kiedy przyszła kolej na Retorykę i miał wygłosić dySSERTACJĘ na temat *Oratio Latina*, która to mowa, jak Ekscelencja wie z własnego doświadczenia – mieliśmy bowiem zaszczyt zaliczać go do wychowanków naszego seminarium – jest jedną z pierwszych

wprawek literackich, przeznaczoną dla najwybitniejszych uczniów, biegłych w wymowie. Ale to wyróżnienie kłóciło się z ograniczeniami jego wieku, zwłaszcza z mizerną posturą jedenastolatka. Z tego powodu, kiedy zebranim dano możliwość wysłuchania poważnej rozprawy retorycznej, którą Feliks Ardèvol wygłosił w języku Wergiliusza, trzeba było ustawić drobnego, światłego mówcę na sporym stołku, żeby mogła go dostrzec publiczność, ze wzruszonymi rodzicami i bratem siedzącymi w pierwszym rzędzie. W ten sposób Feliks Ardèvol i Guiteres rozpoczął triumfalnie karierę naukową, prowadzącą przez Matematykę, Filozofię i Teologię, na poziomie porównywalnym z tak wybitnymi absolwentami seminarium, jak znakomici ojcowie Jaume Balmes i Urpià, Antoni Maria Claret i Clarà, Jacint Verdaguer i Santaló, Jaume Collell y Bancells, profesor Andreu Duran czy wreszcie Wy, Wasza Ekscelencjo, Biskupie naszej ukochanej diecezji, którego osoba przynosi nam zaszczyt.

Oby cnota naszej wdzięczności objęła też naszych przodków, jak nas poucza Pan Nasz słowami „Laudemus viros gloriosos et parentes nostros in generatione sua” (Syr, 44,1). Umocnieni tą wiarą sądzimy, że nie popełniamy błędu, prosząc usilnie Waszą Ekscelencję o zgodę dla naszego studenta, seminarzysty Feliksa Ardèvola i Guiteres, na odbycie studiów teologicznych w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim.

– Nie masz wyboru, synu.

Feliks Ardèvol nie odważył się przyznać, że nienawidzi statków, że urodził się i zawsze mieszkał na lądzie, daleko od morza. Ponieważ nie umiał sprzeciwić się biskupowi, podjął tę ciężką przeprawę. W jakimś zaułku portu w Ostii, pośród przegniłych drewnianych skrzyń i szcurzych odchodów, zwymiotował całą swoją bezradność i prawie wszystkie wspomnienia z przeszłości. Przez kilka sekund oddychał ciężko, aż wreszcie wyprostował się, wytarł usta chusteczką, energicznie wytrzepał podrózną sutannę i spojrzał w kierunku świetlanej przyszłości. Tak jak kiedyś Eneas, teraz on przybył do Rzymu.

– To jest najlepszy pokój w tej bursie.

Feliks Ardèvol odwrócił się zaskoczony. Na progu stał student w habicie dominikańskim, niski i korpulentny, pocący się

od nadmiaru własnego tłuszczu, i uśmiechał się do niego serdecznie.

– Feliks Morlin z Liège – powiedział nieznajomy i cofnął się o krok w głąb celi.

– Feliks Ardèvol z Vic.

– Och! Mój imiennik! – zawołał, śmiejąc się, i wyciągnął do niego rękę.

Od pierwszej chwili przypadli sobie do gustu. Morlin potwierdził, że to najatrakcyjniejszy pokój w całej bursie, i zapytał go, jakiego miał protektora. Ardèvol twierdził, że żadnego, że na portierni ten gruby, łysy stróż spojrział tylko na jego papiery, powiedział Ardevole?, cinquantaquattro i wręczył mu klucz. Nawet na niego nie spojrział. Morlin mu nie uwierzył, ale uśmieł się serdecznie.

W ciągu tygodnia, jaki pozostał do rozpoczęcia zajęć, Morlin przedstawił mu ośmiu czy dziesięciu studentów drugiego roku, swoich znajomych, i poradził, żeby nie spoufalał się z nikim, kto nie studiuje w Gregorianum lub w Instytucie Biblijnym, bo to strata czasu; pokazał, jak wyjść niepostrzeżenie z budynku, tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi cerbera; poradził, żeby przygotował sobie cywilne ubranie na wypadek, gdyby musieli przejść się po mieście incognito; pokazał też innym nowym studentom pierwszego roku najważniejsze budynki i najkrótszą drogę z bursy do Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Mówił po włosku z akcentem francuskim, ale całkiem poprawnie. Wygłosił im też wykład na temat konieczności zachowania dystansu w stosunku do jezuitów z Gregorianum, bo jak nie będziesz się miał na bacności, niepostrzeżenie przenicują ci mózg. Ot tak: pstryk!

Dzień przed inauguracją wszyscy nowi i starzy studenci, pochodzący z różnych stron, zgromadzili się w ogromnej sali reprezentacyjnej w Palazzo Gabrielli-Borromeo, siedzibie Gregorianum, i Pater Decanus Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego z Collegio Romano, Daniele D'Angelo, S.J., nienaganną łaciną uświadomił im, jaki to przywilej i jak wielkie macie szczęście, mogąc studiować na którymkolwiek z fakultetów Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, et cetera, et cetera, et cetera. Mieliśmy zaszczyt przyjmować sławnych studentów, wśród których było nawet kilku ojców świętych, żeby wymienić tylko ostatniego

z nich, nieodżałowanego papieża Leona xiii. Wymagamy od was tylko wysiłku, wysiłku i wysiłku. Tu się studiuje, studiuje, studiuje i uczy się od najlepszych znawców Teologii, Prawa Kanonicznego, Duchowości, Historii Kościoła, et cetera, et cetera, et cetera.

– Ojca D’Angelo nazywają tu D’Angelodangelodangelo – wyszeptał mu Morlin do ucha, jakby go informował o czymś przykrym.

A kiedy skończą naukę i rozproszą się po świecie, i wrócą do swoich krajów, swoich seminariów, do swoich zakonów i zostaną prezbiterami, o ile jeszcze nimi nie są, wtedy wyda owoc ziarno zasiane w tym przybytku. Et cetera, et cetera, et cetera, plus piętnaście minut praktycznych ogłoszeń, może nie aż tak praktycznych jak te Morlina, ale przydatnych w życiu codziennym. Feliks Ardèvol pomyślał, że mogło być gorzej; że orationes latinae z Vic czasem były nudniejsze niż ten oparty na zdrowym rozsądku spis instrukcji, jaki im zaprezentowano.

Pierwsze miesiące kursu, aż do Bożego Narodzenia, minęły bez wstrząsów. Feliks Ardèvol podziwiał przede wszystkim jasność umysłu ojca Faluby, pół-Węgry, pół-Słowaka, jezuitę o nieograniczonej kulturze biblijnej, i zdyscyplinowany umysł ojca Pierre’a Blanc, nieprzystępnego, który oblał Morlina na końcowym egzaminie i nie przyjął jego pracy z teologii mariańskiej, mimo że też pochodził z Liège, tak jak Morlin. Zdobył zaufanie Draga Gradnika, obok którego siedział na zajęciach z trzech przedmiotów. Ten gigantyczny Słoweniec, który przybył z seminarium w Lublanie, miał ogorzałą twarz i szeroki, potężny byczy kark, który zdawał się rozsądzać koloratkę. Mało ze sobą rozmawiali, choć tamten mówił biegle po łacinie. Ale obaj byli nieśmiali i starali się skierować swoją energię na sprawdzanie, co się kryje za wszystkimi drzwiami, które się przed nimi otwierały w trakcie studiów. Podczas gdy malkontent Morlin poszerzał krąg przyjaciół i znajomych, Ardèvol zamykał się w cinquantaquattro, najlepszym pokoju w bursie, i odkrywał nowe światy, studiując paleografa ę papirusów i innych dokumentów biblijnych, zapisanych egipską demotyką, pismem koptyjskim, greką czy aramejskim, przynoszonych przez ojca Falubę, tego, który ich uczył kochać

rzeczy materialne. Zniszczony rękopis, powtarzał, jest beużyteczny dla nauki. Trzeba go konserwować i ratować, nie licząc się z kosztami. A praca konserwatora jest tak samo ważna jak praca naukowca, który go odczytuje. I nie dorzucał et cetera, et cetera, et cetera, bo on zawsze wiedział, co ma do powiedzenia.

– Idioci – zawyrokował Morlin, kiedy się z nim podzielił wrażeniami. – Tacy jak on są szczęśliwi tylko z łupą w ręku, nad pogryzionymi przez myszy, zatęchłymi papierami na stole.

– Ja też się do nich zaliczam.

– Komu są potrzebne martwe języki? – zapytał, używając swojej pompaticznej łaciny.

– Ojciec Faluba mówił, że ludzie nie mieszkają w kraju, mieszkają w języku. A kiedy odzyskujemy dawne języki...

– Sciocchezze. Stupiditates. Jedynym martwym językiem, który żyje, jest łacina.

Doszli do połowy ulicy Via di Sant’Ignazio. Ardèvol w sutannie, a Morlin w habicie. Po raz pierwszy Ardèvol spojrział na przyjaciela ze zdziwieniem. Zatrzymał się i zapytał, zmieszany, o jego credo. Morlin też się zatrzymał i wyjaśnił, że został dominikaninem, bo czuł głęboką potrzebę pomagania innym i służenia Kościołowi. I że nic go nie cofnie z tej drogi, jednakże służyć Kościołowi powinno się w sposób konkretny, nie przez studiowanie rozsypujących się papierów, lecz wpływając na ludzi, którzy z kolei wpływają na życie... Tu przerwał i dokończył: et cetera, et cetera, et cetera, i obaj przyjaciele wybuchnęli śmiechem. W tym momencie Karolina przeszła obok niego po raz pierwszy, ale żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. A ja, kiedy wracałem do domu z Małą Lolą, musiałem ćwiczyć grę na skrzypcach, podczas gdy ona robiła kolację, a wszystkie inne pomieszczenia były pogrążone w ciemności. Niezbyt mi się to podobało, bo w każdej chwili mógł wyskoczyć jakiś złoczyńca ukryty za drzwiami, i dlatego zawsze trzymałem w kieszeni Czarnego Orła, ponieważ ojciec zdecydował lata temu, że w domu nie będzie medalików, szkaplerzy, świętych obrazków ani mszalików, a Adrian Ardèvol, mały chłopczyk, czuł wewnętrzną potrzebę niewidzialnego wsparcia. I pewnego dnia, zamiast grać na skrzypcach, zostałem w jadalni, obserwując zauroczony,

jak słońce, odpływające na zachód, w kierunku Trespui, wywołuje magiczne barwy na wiszącym nad kredensem obrazie, który przedstawiał opactwo Santa Maria de Gerri. To światło zawsze mnie fascynowało i inspirowało do wymyślania niesamowitych historii, więc nie słyszałem, że otwierają się drzwi wejściowe, aż nagle ojciec odezwał się głośno tuż obok mnie i okropnie mnie przestraszył.

– Co ty tu robisz, dlaczego tracisz czas? Lekcje odrobione? Nie musisz ćwiczyć gam? Nie masz nic do roboty? Co?

Adrian jak niepyszny wrócił do swego pokoju, a serce mu jeszcze waliło bum-bum-bum i tylko dlatego nie zazdrościł innym dzieciom, które rodzice całowali na dzień dobry, że nie wierzył w istnienie takich rodziców.

– Carsonie: przedstawiam ci Czarnego Orła z dzielnego plemienia Arapaho.

– Witaj.

– Hauk.

Czarny Orzeł złożył na policzku szeryfa Carsona pocałunek, o którym nie pomyślał ojciec, i Adrian postawił ich obu, na koniach, na nocnej szafce, żeby mogli się lepiej poznać.

– Zauważyłem, że jesteś osowiały.

– Po trzech latach studiowania teologii – powiedział zamysłony Ardèvol – nie udało mi się odgadnąć, co cię naprawdę interesuje. Doktryna łaski?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – upomniał się Morlin.

– To nie było pytanie. Wiarygodność chrześcijańskiego objawienia?

Morlin nie odpowiedział i Feliks Ardèvol dalej nalegał.

– Dlaczego studiujesz teologię w Gregorianum, skoro teologia cię nie...

Zwiększył się dystans między nimi a pozostałymi studentami, którzy wracali z uniwersytetu do bursy. W ciągu dwóch lat studiowania Chrystologii i Soterologii, Meta zyki i, Meta zyki ii, Bożego Objawienia i wysłuchiwanie złośliwości najbardziej wymagających profesorów, zwłaszcza Levinskiego, tego od Bożego Objawienia, który uznał, że Feliks Ardèvol nie spełnia

pokładanych w nim nadziei ze względu na nikłe postępy w jego dyscyplinie, Rzym niewiele się zmienił. Pomimo wojny, która wstrząsnęła Europą, miasto nie było otwartą raną, trochę tylko zubożało. Studenci Papieskiego Uniwersytetu studiowali, jakby nic się nie działo, obojętni na koniunktury i na dramaty, jakie za sobą pociągał. Nie wszyscy. Oni zdobywali w tym czasie wiedzę i cnoty. Nie wszyscy.

– A ciebie?

– Teodycea i grzech pierworodny już mnie nie interesują. Nie chcę usprawiedliwiać Boga. Trudno mi się pogodzić z tym, że dopuszcza zło.

– Już parę miesięcy temu zacząłem to podejrzewać.

– Ty też?

– Nie: zacząłem podejrzewać, że się pogubiłeś. Zajmij się lepiej obserwowaniem świata, tak jak ja. Dobrze się bawię na Wydziale Prawa Kanonicznego. Stosunki prawne między Kościołem a społeczeństwem świeckim; Sankcje Karne w Kościele, Dobra doczesne Kościoła, Charyzmat Instytucji życia konsekrowanego, *Consuetudine canonica*...

– O czym ty mówisz!?

– Nauki spekulacyjne to strata czasu; przy nich kodyfikacje to powiew świeżego powietrza.

– Nie, nie! – zawołał Ardèvol. – Lubię aramejski, jestem podniekcytowany, kiedy widzę rękopisy, kiedy mogę zrozumieć różnice morfologiczne między nowoaramejskim bothan i nowoaramejskim barzani. Albo kiedy zgłębiam tajniki *koy sanjaq Surat* lub *mlahso*.

– Wiesz? Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Na pewno studiujemy na tym samym uniwersytecie? Na tym samym wydziale? Jesteśmy obaj w Rzymie? Co?

– Nieważne. Gdyby tylko ojciec Levinski nie był moim profesorem, chciałbym się dowiedzieć, ile się da, o chaldejskim, babilońskim, samarytańskim, o...

– Na co ci to?

– A tobie co z tego przyjdzie, że wiesz, jaka jest różnica między małżeństwem zawartym, skonsumowanym, legalnym, fałszywym, ważnym i nieważnym?

Obaj wybuchnęli śmiechem na środku Via del Seminario. Jakaś przestraszona kobieta w ciemnym ubraniu podniosła wzrok na dwóch młodych kleryków, którzy swobodnie sobie żartują, uwłaczając podstawowym zasadom skromności.

– Dlaczego jesteś taki oswiały, Ardevole? To nie jest pytanie retoryczne.

– A ciebie co interesuje, tak naprawdę?

– Wszystko.

– A teologia?

– Stanowi część wszystkiego – odpowiedział Morlin, unosząc ramiona, jakby zamierzał pobłogosławić fasadę Biblioteki Casanatense, wraz z dwudziestoma nieświadomymi niczego osobami, które w tym momencie miał przed sobą. Ruszył naprzód tak szybko, że Feliks Ardèvol ledwo za nim nadązał.

– Pomyśl tylko o wojnie w Europie – mówił dalej Morlin, wyciągając energicznie rękę w kierunku Afryki. I dodał po cichu, jakby się bał szpiegów: – Italia musi pozostać neutralna, bo Trójprzymierze to tylko pakt obronny, mówi Italia.

– To my, alianci, wygramy wojnę – odpowiedziała Entente Cordiale.

– Nie mam w tym żadnego interesu, dotrzymuję tylko danego słowa – oświadczyła Italia z godnością.

– Obiecujemy ci odzyskanie Trydentu, Istrii i Dalmacji.

– Powtarzam – upierała się Italia z jeszcze większą godnością, przewracając oczami – że dla Italii neutralność to kwestia honoru.

– Dobrze: jeżeli do nas przystąpisz, ale dzisiaj, nie jutro, jasne? Jeśli przyłączysz się natychmiast, dostaniesz pełny pakiet utraczonych prowincji: Górną Adyge, Trydent, Wenecję Julijską, Istrię, Rijekę, Niceę, Korsykę, Maltę i Dalmację.

– Gdzie mam podpisać? – zapytała Italia. I dodała z błyskiem w oku: – Niech żyje Entente! Precz z mocarstwami Europy Środkowej! I tylko tyle, Feliksie, na tym polega polityka. Tak dla jednych, jak dla drugich.

– A wielkie ideały?

Teraz Feliks Morlin zatrzymał się i wzniósł oczy ku niebu, przygotowując się do wygłoszenia sentencji godnej wyrzycia w marmurze:

– Polityka międzynarodowa to nie wielkie międzynarodowe ideały: to wielkie międzynarodowe interesy. Italia bardzo dobrze to rozumiała; gdy tylko stanęła po właściwej, czyli po naszej stronie, natychmiast ofensywa w Trydencie zniszczyła piękne lasy, dar Boży, kontratak, bitwa pod Caporetto, trzysta tysięcy zabitych; Piave, przełamanie frontu w Vittorio Veneto, zawieszenie broni w Padwie, powstaje Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, twór, który nie przetrwa nawet dwóch miesięcy, mimo że nosi szumną nazwę Jugosławii, i przepowiadam, że odzyskane regiony to marchewka, którą zaraz alianci zabiorą. A Italia obudzi się z ręką w nocniku. Ponieważ wszyscy ciągle się biją, wojna nie może się ostatecznie zakończyć. Ale jeszcze doczekamy się prawdziwego przeciwnika, gdy się tylko obudzi.

– Kto to taki?

– Bolszewicki komunizm. A jak nie teraz, to zobaczysz za parę lat.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Czytam prasę, słucham właściwych ludzi. Zawieranie odpowiednich znajomości to sztuka. Gdybyś wiedział, jak niechlubną rolę odegrał w tych sprawach Watykan...

– A kiedy znajdujesz czas na studiowanie duchowego wpływu sakramentów na duszę albo doktryny łaski?

– To, co robię, to też nauka, drogi Feliksie. W ten sposób przygotowuję się do właściwej służby Kościołowi. W Kościele muszą być teolodzy, politycy, a nawet jeden czy drugi nawiedzony uczony, taki jak ty, który patrzy na świat przez lupę. Dlaczego jesteś osowiały?

Przez chwilę szli w milczeniu, ze spuszczonymi głowami, pogrążeni we własnych myślach. Nagle Morlin stanął jak wryty i powiedział no nie!

– Co?

– Już wiem, co ci jest! Wiem, czemu jesteś osowiały.

– Ach, tak?

– Jesteś zakochany.

Feliks Ardèvol i Guiteres, student czwartego roku Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, który swoją błyskotliwą karierę ugruntował, kończąc dwukrotnie rok akademicki z pierwszą lokatą, otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zaraz

je zamknął. Przypomniał sobie, jak w Poniedziałek Wielkanocny, w ostatnim dniu ferii z okazji Wielkiego Tygodnia, gdy już skończył dysertację na temat *Vico, verum et fatum reciprocantur seu convertuntur*, o niemożności zrozumienia wszystkiego, w ostrej opozycji do Feliksa Morlina, który sprawiał wrażenie, jakby rozumiał wszystkie dziwne mechanizmy społeczne, a do Vico był nastawiony negatywnie, przechodził przez Piazza di Pietra, i tam zobaczył ją po raz trzeci. Olśniewająca. Stado gołębi, ze trzydzieści sztuk, tworzyło między nimi barierę. Podszedł bliżej; zobaczył, że trzyma w ręku paczkę, a kiedy się do niego uśmiechnęła, dokładnie w tym momencie świat stał się jaśniejszy, harmonijny, szczodry i czysty. Natychmiast przeprowadził logiczne rozumowanie: to piękno, tyle piękna, nie może być dziełem diabła. Piękno pochodzi od Boga, a uśmiech był anielski, czyli też boski. Przypomniał sobie ten drugi raz, kiedy Karolina pomagała ojcu rozładować wóz stojący przed sklepem. Czyż te słodkie plecy miałyby się ugiąć pod ciężarem szorstkich drewnianych skrzynek, wypełnionych po brzegi jabłkami? Nie mógł na to pozwolić; pomógł jej i oboje, bez słowa, pod ironicznym spojrzeniem muła przeżuwanego obrok, wyładowali trzy skrzynki, a on, podziwiając nieskończony pejzaż jej oczu, nie zauważył wystającego progu i cały sklep Saveriano Amato zaniemówił na widok studenta uniwersytetu, kleryka, kapłana, seminarzysty, który podkasuje sutannę jak byle tragarz i wpatruje się w dziewczynę mrocznym wzrokiem. Trzy skrzynki jabłek, prawdziwy dar niebios w czasie wojny, to trzy chwile szczęścia u boku piękna; dopiero później rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że jest w sklepie signora Amato, powiedział buona sera i wyszedł, nie mając odwagi odwrócić się, żeby na nią spojrzeć, a za nim pospieszyła matka dziewczyny, która ukradkiem wcisnęła mu do ręki dwa czerwone jabłka; natychmiast zakwitły mu na twarzy rumieńce, bo wyobraził sobie dwie cudowne piersi Karoliny. Albo kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, Karolina, Karolina, Karolina, najpiękniejsze imię na świecie, wtedy jeszcze jako dziewczynę bezimienną, która minęła go i dokładnie w tym momencie skręciła nogę w kostce, aż krzyknęła z bólu, biedne dziecko, i o mało nie osunęła się na ziemię. Towarzyszył mu wtedy

Drago Gradnik, który w ciągu dwóch lat od rozpoczęcia nauki na Wydziale Teologicznym urosł jeszcze z pół piędzi i zwiększył masę ciała o sześć czy siedem funtów żywej wagi, a teraz już od trzech dni myślał tylko o jednym, o argumentacie ontologicznym świętego Anzelm, tak jakby już nic innego na świecie nie mogło udowodnić istnienia Boga, chociażby piękno tej słodkiej istoty. Nie dotarło do niego, że ten niefortunny krok mógł się okazać bardzo bolesny. Feliks Ardèvol ujął delikatnie w dłonie nogę niezrównanej Adalaisy, Beatrice, Laury, na wysokości kostki, żeby pomóc jej złapać równowagę, a w chwili, gdy dotknął jej nóżki, przez kręgosłup przepłynął mu prąd elektryczny silniejszy niż w łuku elektrycznym na Wystawie Światowej i podczas gdy pytał, czy boli panią, signorina, chciał się na nią rzucić i natychmiast ją pojąć, i po raz pierwszy w życiu poczuł pilne, bolesne, bezlitosne i przeraźliwe pożądanie seksualne. Tymczasem Drago Gradnik patrzył w drugą stronę, rozmyślając o argumentach świętego Anzelm i o innych racjonalnych dowodach na istnienie Boga.

– Ti fa male?

– Grazie, grazie mille, ojcze... – powiedziała słodkim głosem dziewczyna o niezbadanej głębi oczu.

– Jeżeli Bóg obdarzył nas inteligencją, to rozumiem, że wiara nie wyklucza używania rozumu. Prawda, Ardevole?

– Come ti chiami (prześliczna moja nimfo)?

– Karolina, ojcze. Grazie.

Karolina, jakie piękne imię; nie mogłabyś się nazywać inaczej, najdroższa.

– Ti fa ancora male, Karolino (o niezrównana piękności)?

– zapytał ponownie, zmartwiony.

– Rozum. Przez rozum do wiary. Czy to jest herezja? Co, Ardevole?

Posadził ją na ławce i tam ją musiał zostawić, bo nimfa, cała w pąsach, zapewniła go, że zaraz będzie tamtędy przechodzić jej matka, i dwaj studenci poszli dalej, ale podczas gdy Drago Gradnik w swojej nosowej łacinie powątpiewał, czy wszystko da się sprowadzić do świętego Bernarda, czy może to, co powiedział Teilhard de Chardin, warte jest przemyślenia, on nagle przyłapał

się na tym, że ciągle podnosi do twarzy dłoń, próbując na niej odszukać muśnięcie bogini o imieniu Karolina.

– Ja miałbym być zakochany? – Odwrócił się w stronę Morlina, który obserwował go z szelmowskim uśmiechem.

– Wszystkie objawy na to wskazują.

– Co ty o tym możesz wiedzieć?

– Też przez to przechodziłem.

– I jak się z tym uporałeś? – w głosie Ardèvola brzmiała nutka nadziei.

– Nie z tym, ale z nią. Na niej. Do skutku, aż mi przeszło, a wtedy precz.

– Nie gorsz mnie.

– Takie jest życie. Jestem grzesznikiem i bardzo tego żałuję.

– Zakochanie jest bezkresne, nie ma granic. Ja nie mógłbym...

– O mój Boże, ale cię wzięło, Feliksie Ardevole!

Ardevole nie odpowiedział. Przed nim unosiło się stado gołębi, w Poniedziałek Wielkanocny, na Piazza di Pietra. Niecierpiąca zwłoki potrzeba kazała mu się przebić przez dżunglę gołębią, żeby dotrzeć do Karoliny, która mu wręczyła paczuszkę.

– Il gioiello dell’Africa – powiedziała nimfa.

– A skąd wiedziałaś, że ja...

– Codziennie pan tędy przechodzi. Codziennie.

W tym momencie, Mateusz dwadzieścia siedem, wiersz pięćdziesiąt jeden, zaślona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać. Groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy umarli, powstało.*

Tajemnica Boga i Słowa Wcielonego.

Tajemnica Marii Dziewicy, Matki Bożej.

Tajemnica wiary chrześcijańskiej.

Tajemnica Kościoła ludzkiego i niedoskonałego; boskiego i wiecznego.

Tajemnica miłości młodej kobiety. Otrzymana w prezencie paczuska już od dwóch dni stoi na stole w cinquantaquattro, ale dopiero trzeciego dnia ośmieliłem się ją rozwinąć z zewnętrznej

* Przełożył Walenty Prokulski, *Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1980, s. 1156–1157.

warstwy papieru. W środku jest zamknięte pudzderko. O, mój Boże. Jestem na granicy przepaści.

Odczekał do soboty. Większość studentów była w swoich pokojach. Część wyszła na spacer lub rozproszyła się po różnych rzymskich bibliotekach, gdzie poirytowani szukali odpowiedzi na pytanie o naturę zła i dlaczego Bóg na nie pozwala, pytali o irytującą przyczynę istnienia szatana, o właściwą interpretację Pisma Świętego lub o moment pojawienia się neumy w zapisie chorału gregoriańskiego i ambrozjańskiego. Feliks Ardèvol był sam w cinquantaquattro, przy stole, z którego usunął książki. Wszystko miało być na swoim miejscu; nic go nie wyprowadzało z równowagi bardziej niż irytujący stos rzeczy w nieładzie, które natychmiast wyrzucał do śmieci, czy przedmioty nie na swoim miejscu, lub takie, które przyciągały wzrok, ponieważ nie były odpowiednio ułożone, lub... Zastanowił się, czy przypadkiem nie staje się maniakiem. Myślę, że tak; że to już wtedy się zaczęło; obsesja ojca na tle materialnego porządku. Myślę, że brakiem spójności intelektualnej nigdy się nie przejmował. Natomiast książka, która leżała na stole, a powinna leżeć na półce, czy papier porzucony na kaloryferze, to było coś, czego nie dało się wytłumaczyć i wybaczyć. Nic nie mogło zakłócać optycznej harmonii i wszyscy musieliśmy stać na baczność, a zwłaszcza ja, i musiałem codziennie, codziennie, odkładać na miejsce wszystkie zabawki, którymi się bawiłem w ciągu dnia, z czego uchodzili cało tylko szeryf Carson i Czarny Orzeł, bo spali nielegalnie ze mną i ojciec nigdy się o nich nie dowiedział.

Pokój cinquantaquattro był już czysty jak patena. Feliks Ardèvol stał przy oknie i patrzył na strumienie sutann, które wpływały i wypływały z bursy. Na zamkniętą dorożkę przejeżdżającą przez Via del Corso, która kryła w sobie jakieś nieprzyzwoite, irytujące sekrety. Na dziecko, które ciągnęło za sobą blaszane wiaderko, wywołując niepotrzebny, irytujący hałas. Drżał z lęku i dlatego wszystko go irytowało. Na stole leżał niecodzienny przedmiot, przedmiot, któremu nie wyznaczył jeszcze miejsca. Zielone pudzderko, подарowane przez Karolinę, z gioiello dell’Africa w środku. Jego przeznaczenie. Poprzysiągł sobie, że zanim zadzwonią na

dwunastą dzwony w kościele Santa Maria, albo wyrzuci puzderko, albo je otworzy. Albo się zabije. Jedno z trzech.

Bo co innego żyć dla nauki, przebijać się przez pasjonujący świat paleogra i, starych rękopisów; uczyć się języków, którymi nikt się nie posługuje, gdyż wieki temu zastygły na dobre w zmurzonych papirusach, oknach, wydobywających je z niepamięci; tropić różnice między paleogra a średniowieczną a starożytną, cieszyć się, że na wielkim świecie można jeszcze studiować sanskryt i języki azjatyckie, kiedy tamte mu się znudzą, ale gdybym kiedyś miał syna, chciałbym, żeby...

A właściwie dlaczego przyszło mi teraz na myśl, że chciałbym mieć syna? – obruszył się, nie, raczej się zirytował. I znów spojrzął na puzderko, samotne na stole w czystym pokoju cinquantaquattro. Feliks Ardèvol strzepnął nieistniejący pyłek z fałd sutanny, potarł palcem szyję pod zaciśniętą koloratką i usiadł przy stole. Za trzy minuty odezwą się dzwony kościoła Santa Maria. Nabrał powietrza i podjął pierwszą decyzję: na razie nie popełni samobójstwa. Wziął do ręki puzderko, ostrożnie, jak dziecko, które przynosi do domu gniazdo ściągnięte z drzewa, żeby pokazać matce zielonkawę jajka czy bezbronne pisklęta, będą je karmił, mamó, nie martw się, złapię dla nich dużo mrówek. Jak spragniony jeleń, o mój Boże. W jakiś sposób przeczuwał, że podjęte teraz kroki pozostawią w jego duszy nieodwracalny ślad. Dwie minuty. Drżącymi palcami próbował rozwiązać czerwoną wstążkę, ale tylko mocniej zaciskał węzeł, nie z powodu niezręczności nieszczęsnej Karoliny, lecz przez własne nerwy. Minuta i trzydzieści sekund. Podszedł do umywalki po brzytwę. Rozłożył ją szybkim ruchem. Minuta piętnaście sekund. Przeciął okrutnie tę wstążkę, której czerwień nie miała sobie równych wśród wszystkich barw, jakie widział w ciągu swojego długiego życia, bo w wieku dwudziestu pięciu lat czuł się stary i zmęczony i wolałby, żeby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego, żeby przydarzyło się jakiemuś innemu Feliksowi, który na pewno potrafiłby sobie z tym poradzić bez... Minuta! Usta suche, ręce spocone, kropla potu spływa po policzku, a jeszcze wczoraj... Za dwie sekundy dzwony kościoła Santa Maria in Via Lata zadzwonią na dwunastą. I kiedy w Wer-salu banda amatorów ogłosiła, że właśnie skończyła się wojna,

i wysuwając z przejęcia koniuszek języka podpisywała rozejm, wprawiając w ruch mechanizm, który stanie się zarzewiem nowej, efektownej wojny za parę lat, jeszcze bardziej krwawej i bliższej absolutnego zła, wojny, do której Bóg nigdy nie powinien był dopuścić, w tym samym czasie Feliks Ardèvol i Guiteres otworzył zielone puzderko. Niezręcznymi ruchami odsunął różową wateę i w momencie, gdy zabrzmiało pierwsze uderzenie, Angelus Domini nuntiavit Mariae, rozpląkał się.

Wyjść z bursy incognito było stosunkowo łatwo. Z Morlinem, Gradnikiem i dwoma lub trzema innymi zaufanymi kolegami uprawiali ten proceder już wiele razy, całkiem bezkarnie. Kiedy wychodzili w świeckim ubraniu, Rzym otwierał przed nimi wiele drzwi, innych niż te, które otwierał przed sutannami. W zwykłym ubraniu mogli wejść nawet do takiego muzeum, gdzie przyzwoitość nie pozwoliłaby im pokazać się w sutannie. Mogli napić się kawy na Piazza Colonna i w jeszcze odleglejszych okolicach, przysiadając się przechodniom; ze dwa, trzy razy Morlin zabrał go, swojego ukochanego ucznia, z wizytą do ludzi, których jego zdaniem powinien poznać. Przedstawiał go jako Feliksa Ardevole, uczonego, który zna osiem języków, przed którym rękopisy nie mają żadnych tajemnic, a badacze otwierali wtedy swoje sejfy i mógł zobaczyć na własne oczy oryginalny rękopis *Mandragory*, coś wspaniałego, czy rozsypujące się papiirusy, związane z dziejami Machabeuszy. Jednak dziś, kiedy Europa zawierała pokój, uczoney Feliks Ardevole po raz pierwszy wychodził w tajemnicy nie tylko przed władzami bursy, ale i przed swoimi kolegami. W swetrze i czapce, pod którymi ukrywał swoje klerykalne nawyki. Jak strzała pomknął w stronę sklepu warzywnego signora Amato i stanął na czatach, licząc upływające godziny. Z puzderkiem w kieszeni patrzył na przechodzących ludzi, beztroskich i szczęśliwych, wolnych od trawiącej go gorączki. Widział matkę Karoliny i jej młodszą siostrę. Wszystkich, poza swoją ukochaną. Gioiello, prymitywny medalik, na którym niewprawna ręka wygrawerowała romańską Matkę Boską, a przy niej ogromne drzewo, coś jakby świerk, a na rewersie jedno słowo, Pardac. Z Afryki? Czy to mógł być medalik koptyjski? Dlaczego powiedziałem

„Wielka powieść europejska”, „przełom w literaturze”, „powieść-katedra o idealnych proporcjach i epickim, pełnym kunsztownych detali wykonaniu”, „książka, która przeżyje nas wszystkich”.

Wyznaję zachwyca czytelników i krytyków.

Tę książkę czyta niemal cała Europa!

To trzymające w napięciu do ostatniej strony wyznanie miłosne i spowiedź człowieka starającego się przeniknąć istotę zła – w świecie i sobie samym. Historia chłopca dorastającego samotnie wśród książek, który musi zmierzyć się z rodzinnymi tajemnicami.

Za sprawą osiemnastowiecznych skrzypiec zagłębia się w mroki dziejów hiszpańskiej inkwizycji i piekła dwudziestowiecznej Europy.

Cabré, którego pasją jest muzyka, skomponował tę powieść jak symfonię, z częstymi zmianami nastroju, tempa i głosu narracji. Bogactwo wątków, postaci, pomysłów literackich oszałamia i wzbudza zachwyt.



Jaume Cabré urodził się w Barcelonie. Tak jak jego bohater uczył się gry na skrzypcach i tak jak on porzucił je dla bardziej wyrafinowanego instrumentu – języka. Od lat uznany za najwybitniejszego pisarza katalońskiego, po wydaniu w 2011 roku powieści *Wyznaję* stał się jednym z najważniejszych pisarzy europejskich. Jego obsypane nagrodami książki zostały przetłumaczone na kilkanaście języków i wydane w setkach tysięcy egzemplarzy. Teraz – po raz pierwszy Jaume Cabré i jego najważniejsza książka – po polsku.

PATRONAT MEDIALNY



www.marginesy.com.pl



9 788363 656249

cena 49,90 zł